

luty 1990 r

NAGRANIE

Irena Pelzner

zam. Warszawa

ul. Ringelbluma 3 m 67

tel. 36 42 39

nagranie: Barbara Mineyko

wykorzystane do tematu: Dzieciństwo na zesłaniu.

© ARCHIWUM WSKRONIE

- Ile miała pani lat, kiedy wyjeżdżaliście?

- Chodziłam pierwszy rok do polskiej szkoły.

/ Jest bardzo spięta, przygotowuje herbatę włączając i wyłączając czajnik, wchodzi, wychodzi. Mówi w chaotyczny sposób, szybko z jakimś odczuciem, że to nie to - ale wreszcie zapomina o włączonym magnetofonie i przerywam od czasu do czasu nie po to, aby zadać pytanie, ale aby zmniejszyć emocje natrętnych wspomnień, świadcząc o tym, że potem już się w życiu właściwie nic tak wstrząsającego nie działo. Przypomina mi sterców, którzy z zapalem potrafia mówić o swoich bitewnych sukcesach. Tak, oczywiście, jest dumna ze swojego męża - który już nie żyje i był naukowcem, ale tamto jak gdyby było dniem dzisiejszym, natrętnym i przykrywającym wszystko, nawet to, co będzie jutro/.

- Był to pierwszy, zimowy transport, bardzo ciężki?

- Tak, ten.

- Pamięta pani?

- Oczywiście, że pamiętam. Prawdopodobnie chcieli ojca rozstrzelać, ale miejscowi ludzie powiedzieli, że to był bardzo dobry człowiek, ma dzieci, no i żeby zostawić go po prostu.

- A zawodowo, kim był ojciec?

- No właśnie, to było najgorsze. Był osadnikiem wojskowym i ~~był~~ miał być zlikwidowany w jakiś tam sposób jako przedwojenny oficer. Jako osadnik wojskowy dostał licencję do prowadzenia sklepu i po prostu prowadził sklep tam, gdzie mieszkaliśmy, w ~~okolicy~~ 50 km od Wilna. Wszystkich nas wywieźli, ~~razem~~ razem z ojcem.

- To znaczy?

- Siostra, brat, ojciec, mama i ja. W jednym wagonie bydłowym. Jechaliśmy dzień i noc. Od czasu do czasu pociąg przystawał, sprawdzano czy wszyscy jesteśmy.

- Dużo wieźliście ze sobą? / Znałam odpowiedź na takie pytanie, od matki dobrze wiedziałam ile można było zabrać, ale byłam ciekawa czy zależało to od "polecenia wierzchuszki" czy też od indywidualności zjawiającej się ekipy/.

- Nie, wzięło się coś do jedzenia, jakieś okrycia.

- Mówili dokąd wiozą?

- Nie. Po prostu wsadzili na wóz, zawieźli na stację, tam załadowali do wagonu, zaplombowali i powieźli w nieznane. Początkowo jechaliśmy w okrutnych warunkach. Bo było zimno i bardzo brudno i nie wiadomo było co zrobić z koniecznością załatwienia wiadomych potrzeb.

Wreszcie ktoś poszedł do głowy po rozum i zrobił po prostu dziurę w podłodze. W taki sposób załatwialiśmy się. W wagonie byli ludzie inteligentni, wykształceni. Nie wiele było prostych ludzi.

- A więc taki sposób załatwiania się musiał być dla tych ludzi tragiczny?

- Zrobiono jakąś zasłonę. Ktoś usiłował nawet uciec przez taką dziurę. Czy się udało? Już nie pamiętam. I tak dojechaliśmy wszyscy do Krasnojarskiego Kraju. Stamtąd zawieźli nas w rejon *Syrbulskij*, potem do wiosek poszczególnych.

- Pamięta pani góry Ural w czasie jazdy?

/ Sama je pamiętam w czasie jazdy, chociaż miałam nie całe cztery lata i zrobiły na mnie ogromne wrażenie/

- Stamtąd niczego się nie widziało. Bo jechało się dzień i noc. Było małe, zakratowane okienka. To było wszystko takie przygnębiające że ja niczego nie pamiętam, tylko to, że drżało się z zimna. / Sądzę iż młodsze dzieci pamiętają więcej - nie czując specjalnego przygnębiania, a widząc przez małe okienko świat zupełnie inny od dotychczasowego - ~~szdzzxtzpxsokis/x~~ mogę tak wnioskować po sobie/. Pamiętam tylko, że czyjaś ciocia została zabrana przypadkowo, a kiedy przycho-

człowiek, który sprawdzał, czy wszyscy są, to ona odpowiadała, że jej nie ma, że ona tutaj nie jedzie - i tak było do końca.

Jechaliśmy równo osiemnaście dni i nocy. Rozwieźli nas po osiedlach po wsiach. Znaleźliśmy mieszkanie w takim jednym z większych domów

- A miejscowość?

- To był *Sypilish*. Było to takie miasteczko, gdzie wydobywano złoto. Ale było jeszcze takie osiedle, które nazywało się *Tupujit*...

Byliśmy tam może w pięć, może więcej rodzin w jednym pokoju. Dopiero potem się to rozładowało.

- I jak długo taki stan trwał?

- Przyjechaliśmy w zimie, a to jeszcze trwało latem, no więc na pewno około roku.

- I wszyscy w jednym pokoju?

- I wszyscy w jednym pokoju. I wtedy rzeczywiście - nie tylko bawiliśmy się, ale i tłukliśmy się razem. Dzieci trochę było, więc każde chciało mieć pierwszeństwo w jakiejś tam sprawie, ale jakoś się przetrwało. Pierwsze momenty były rzeczywiście bardzo trudne

- zanim się człowiek zaklimatyzował.

- Szczególnie iż to była zima w czasie waszego pezyjazdu.

- Tak, była zima, a domy były drewniane. I tak byliśmy w lepszych warunkach niż ci, którzy tutaj byli przywiezieni w czasie "rewolucji"

- to jest zostali wysiedleni ze swoich rodzinnych stron w czasie "rewolucji". Ich posadzono w tańdze "na goło", bez żadnych budynków

I tam ludzie umierali tak, jak się to mówi po polsku: jak muchy.

Myśmy już mieli dach nad głową, a więc było dużo lepiej.

- Rodzice zostali zatrudnieni?

- Mama zaczęła pracować. Początkowo jako sprzątaczką. Ojca zabrano do wydobywania złota - bo tam była kopalnia złota.

- Ojciec był inwalidą, to znaczy?

- Nie miał tylko oka. Kodał się, że jest stolarzem i że może załatwić tam stolarskie sprawy. Była to kopalnia złota o bardzo dużych żyłach złota.

- Jak to wyglądało?

- Ja nie bardzo pamiętam, ale tato opowiadał że się szło za żyłą złota i najgorzej było wtedy, kiedy się coś zawaliło, wtedy ludzie pozostawali już na zawsze. A więc złota tam było na prawdę dużo. Czasami można było taki samorodek zdaleźć nad rzeką, nad jakimś urwiskiem, nad skałą.

- Czym płacono za pracę?

- Płacono tam talonami żywnościowymi, za które można było sobie coś kupić. Tylko że tam właściwie niczego nie było. Na przykład raz na rok należała się jakaś sukienka. Na codzien chodziło się w walonkach i jakichś szmatach. Przydział chleba był wyższy dla pracującego.

- Ale wystarczało?

- Nie, było tego bardzo mało, gdyby nie to że UNRA nam pomagała...

- Ale przecież nie odrazu?

- Nie, nie odrazu, tylko później. Pierwsze dwa lata to dzieci umierały. Ja pamiętam wszystkie tam śmierci. Mnie nazywano " pogrobową" ponieważ ja bywałam na każdym pogrzebie. Nie wiem dlaczego, po prostu szłam za każdym pogrzebem. Tak bardzo przeżywałam, tak bardzo. I pamiętam, kiedy u jednej z matek umarło w ciągu dwóch dni troje dzieci, to było straszne. Bardzo przeżywałam. Dokładnie to pamiętam, miałam wtedy już ponad 10 lat. W pierwszym, drugim i trzecim roku prawie codziennie był jakiś pogrzeb.

- Z jakiego powodu te dzieci umierały, z głodu, czy też z jakiejś infekcji?

- Przede wszystkim tyfus. Kosił absolutnie, mało kto przeżywał, jeżeli zachorował.

- A lekarze?

- Pomagali tylko ci, którzy znali się na chorobach, jeszcze z poprzednich zesłań nauczyli się od zesłanych lekarzy, a więc był taki przekaz doświadczeń.

- Nie było przychodni, szpitali?

- W tajdze, na górze był dom, rodzaj izolatki-szpitala. I tam odsyłano już chorych. Ale na miejscu nie było lekarza. Tam w ogóle nie było ludzi wolnych. Ci, których zastaliśmy - nawet w administracji i na różnych funkcjach - to byli z poprzednich zesłań. Każdy mógł powiedzieć o swoim ojcu, że trafił tutaj ~~xxjakiegum~~ jako zesłaniec.

- A więc kiedy przyjechaliście, to nie byliście intruzami. Byliście tacy, jak wszyscy.

- Tak, ale zanim nie było przyjeźni polsko-radzieckiej to traktowano nas jako wrogów, których trzeba pilnować, słuchać co mówią i donosić. Od momentu zarządzenia, że jesteśmy przyjaciele odrazu wszystko się zmieniło. Przedtem na przykład wszedł chłopiec w szkole na ławkę i kopał mnie tak długo jak chciał. Weszła nauczycielka i nie mogła go skarcić. Mógł mnie nawet zabić.

- A za co bił?

- Coś mu się tam nie spodobało. Polka - więc będę cię bił. Weszła nauczycielka i powiedziała tylko coś w tym rodzaju: no już dobrze, wystarczy. Ci ludzie byli tak zastraszeni, bali się własnego losu i życia, chcieli zachować przynajmniej to, co już mają. Opowiem na potwierdzenie tego takie zdarzenie - mieszkaliśmy już w innym miejscu, u takiej kobiety której mąż był na froncie. Pisał do niej, że wróci po wojnie. W międzyczasie sąsiadki mąż wrócił jako inwalida - przecież nie mógł wrócić zdrowy - i żona go przyjęła. Za to oboje trafili do obozu. No bo jak on mógł wrócić i nie zginąć, nie walczył dalej. A więc ta nasza Froszka - dobrze ją pamiętam, bo przecież mieszkaliśmy wszyscy w jednym pokoju - my, ona z siostrą i cielakiem - zastanawiała się czy przyjąć go po powrocie. Kto wie, a może on jest wrogiem? Jeżeli go przyjmie, to wtedy i ona będzie winna. To było okropne, nie mogłam tego zrozumieć. Teraz, kiedy po latach czytam o takich sprawach, rozumiem ich strach ale wtedy nie mogłam pojąć. Ja się niczego nie bałam - bo przecież dzieci się nie boją. Natomiast mój tata do ostatniej chwili się bał. Już w Kraju mój ojciec ostrzegał mnie żeby nie "pyskowała" bo mnie ponownie wyślą na Syberię. A ja po prostu opowiadałam, jak tam było, a tego

nie wolno było robić. W szkole średniej powiedziała mi profesorka: nie opowiadaj, że tam byłeś, że było źle. Tego nie wolno robić.

- Wracając jeszcze do kopalni złota i tego pokoju, w którym tyle rodzin razem mieszkało. Tam była również szkoła?

- Tak, była rosyjska szkoła. Kiedy zmienił się stosunek do Polaków to i dzieci między sobą zaczęły zachowywać się przyjeźnie.

- Jaką drogą rodziny utrzymywały polskość, przecież nie wiedzieliście czy wrócicie?

- Ależ jak można tak mówić?! /Moja rozmówczyni poczuła się bardzo dotknięta moim pytaniem. Nie mogłam zrozumieć tego podniecenia, dopiero w dalszej relacji jasnym się dla mnie stało, dlaczego dla niej miało to takie znaczenie/. Jakże nie wiedzieliśmy, że wrócimy? Przez 6 lat dzień w dzień, kiedy kładliśmy się do łóżka mama zawsze nam mówiła: nie płaczcie, jutro zdobędę jakis pokarm, przecież jutro wyjedziemy do kraju, do Polski. .

Nie było przez te lata ani jednej sekundy, w której człowiek myślałby że nie wróci. My tylko dlatego przetrwaliśmy, że wierzyliśmy w ten jutrzejszy powrót. Nie pojutrze i nie kiedyś tam, ale już jutro! Pamiętam takie zdarzenie, jak dzisiaj, ojca już nie było - był na froncie, a mama była świniarką. Przy tej pracy można było coś ukraść. Świnie jadły dosyć dobrze- otręby, ziemniaki. Przy wkładaniu do kotła był pilnujący, ale potem przy dawaniu świniom można było coś z tego ukraść. Kradzież była bardzo karana. Pamiętam jak ktoś tam nasypał sobie trochę ziarna do walonek- został rozstrzelany. No więc wtedy, kiedy mama pracowała przy tych świniach brat mój, który miał wówczas 12 lat, pracował jako woźnica i musiał jechać kołmi 30 km na stację po dyrektora kołchozu. Aby zdążyć na odpowiedni czas musiał wyjechać wieczorem i jechać nocą przez tajgę. Przyszedł do mamy licząc, że coś ukradła i da mu jeść, ale niestety nic nie miała i mówi: jak wrócisz, to ja na pewno coś już przyniosę. Usiadł więc głodny do sań, otulił się szubą, bo i dla dyrektora musiał szubę zabrać i jechać przez tajgę nocą.

W jakimś momencie konie stają i zaczynają parskać. Koń kiedy poczuje wilka to staje i spuszcza głowę, bo przy podniesieniu głowy wilk może chwycić go za szyję. A więc już było wiadomo, że to są wilki. Widać było tylko ogniki, które biegną w ich stronę. Dla brata nie była to żadna nowość, ponieważ często wilki podchodziły do naszego domu. Wtedy się czymś stuknęło i straszycie aby odeszły, a teraz był zupełnie bezradny, mały chłopiec sam nocą w tajdze. Musiał jednak już pracować. Mając 12 lat liczył się jako mężczyzna i musiał pracować. Dzięki temu otrzymywał lepszą kartkę żywnościową. Po powrocie opowiadał nam to zdarzenie, dokładnie pamiętam jego słowa: pożegnałem się z bliskimi i myślę - trudno, będę rozszarpany przez wilki - ale przecież mama powiedziała, że jutro wracamy do Polski!

Nie mógł sobie wyobrazić tego powrotu bez niego. Wyjął trochę siana i podpalił. Wcale to jednak ich nie odstraszyło. Wilczyca pierwsza podbiegła, nie była głodna, więc tylko załatwiła się i pobiegła. Wszystkie wilki pędzące za nią - był to okres rui - również podbiegły, powąchały, załatwiły się i popędziły za nią. To nie bajka, a najprawdziwsze ~~prawda~~ zdarzenie. Konie ruszyły i brat pojechał dalej. Po powrocie z dyrektorem wszedł do domu i prosi: mamó, daj jeść. Matka tłumaczy się, że był ktoś z kontroli i nie mogła niczego ukraść. Brat był tak głodny i poruszony swoją przygodą w drodze, a że był bardzo nerwowy, zaczął okropnie kłać, krzyczeć i rozpaczać. Była straszna awantura w domu.

Wielu rzeczy nie mogłam wtedy jeszcze zrozumieć. Na przykład dostaliśmy na pięć osób - wtedy byłam ja, siostra, brat, mama i jeszcze ojciec - pewien obszar ziemi, na którym można było posadzić nie całe wiadro kartofli. Kiedy ojciec poszedł do wojska, wtedy zabrano nam jedną piątą ziemi, chociaż obok leżało tysiące hektarów ~~nieużytków~~ odłogiem ale nie wolno było tego uprawiać. Bo jeżeli będziesz miała więcej, to wzbogacisz się, może będziesz chciała i zboże siać i coś jeszcze. Nie mogłam tego zrozumieć. Z tego właśnie Czarnego Oziera - tam wtedy mieszkaliśmy - jako dzieci wybraliśmy się na zbieranie kłosów

zboża po zakończonych żniwach. W mojej wyobraźni już widziałam placki które upiecze się z przemielonego zboża, które nazbieram. Szło się bardzo długo. Pamiętam w butelce niosło się trochę mleka i cieszyło się takim drobiazgiem bardzo. Jesteśmy na tym polu i zbieramy kłoski i widzimy że na koniu jedzie dwoje ludzi. To znaczy predsiedaciel kołchozu i jakaś pani, może "polityczna". Sam predsiedaciel był dobrym człowiekiem. Nagle któreś z rosyjskich dzieci krzyknęło: chować się trzeba! Ci jechali z nahażkami i nimi nas bili, ponieważ nie wolno było zbierać kłosów. W Związku Radzieckim był dobrobyt i nie wolno było pozwolić, aby dzieci z głodu zbierały kłosa. Pamiętam skoczyłam do takiego dołu i do mnie nikt nie podszedł. Ponieważ to było lato, ~~byłam~~ byłam lekko ubrana, a więc siedziałam tak w tych pokrzywach. Myślę, że oni mnie widzieli. W rezultacie więcej było strachu, nikogo właściwie z nas nie zbili.

- Sądzę iż niechętnie to robili.

- Myślę że tak. Tyle kilometrów szło się na próżno. Chcieliśmy tam przenocować, żeby od samego rana zbierać, a tak musieliśmy wracać do domu. W lesie można było zbierać jagody, grzyby - szczególnie dzieciom. Ale tajga była tak niebezpieczna, że samemu nie można było po niej chodzić. Jeżeli weszło się i nie znało powrotnej drogi, to się już nie wróciło. Jedna z kobiet zabłądziła i po kilku dniach dopiero zobaczono ją po drugiej stronie gór. Jakoś ją złapano, ale ona ze strachu była prawie już nienormalnym człowiekiem.

Nauczyliśmy się jeść korzenie, pączki kwiatów, różne rośliny. Była taka roślina, nazywała się czeremsza. Kiedy przyjechaliśmy po jakimś czasie zaczęły ludziom wypadać zęby, a stali mieszkańcy mieli je piękne właśnie dzięki tej czeremszy, nauczyliśmy się i my ją jeść. Ma smak i zapach czosnku. Kroiło się całą miednicę i jadło. Szczególnie smakowało z zsiadłym mlekiem, a już szczególnym przysmakiem była do tego śmietana, wtedy to był przepych. Dzięki tej roślinie organizm otrzymywał brakujące witaminy, a jednocześnie był to również objętościowo pokarm. Najgorsze więc były pierwsze lata, a potem to już nauczyliśmy się żyć.

Zbierało się orzechy cedrowe, soliło rydze. No i UNRA dużo pomagała.

- Szczególnie ciężkie momenty zdrowotne, represyjne?

- Po układzie polsko- radzieckim już nie było specjalnych represji.

Nas nawet potem lepiej traktowano niż Rosjan. Może liczone się z tym, że kiedyś trzeba będzie się ~~razkiem~~ wytłumaczyć.

Po tajdze mieszkaliśmy w tatarskiej wsi. To był Chutor. Ponieważ było tam słone jezioro, więc uważano, że nie należy się przydniać soli.

Wody nie dało się pić, bo była gorzka. Ojca wtedy nie było. Poszedł do punktu zbornego organizujących się pierwszych polskich oddziałów.

Nie pamiętam nazwy tej miejscowości, może dowiem się od kogoś z rodziny.

Tam się dowiedział, że wszyscy ludzie, którzy przyjeżdżają do tego punktu nagle giną i nie wiadomo co się z nimi dzieje. Ponieważ ojciec

był inwalidą - nie miał oka - więc nie był ani oficerem, ani wielkim wojskowym, był zaopatrzeniowcem - dziwił się dlaczego nie ma ludzi tych, którzy przychodzą. Lekarz mówi mu, chodź ja ci pokażę co tu się dzieje.

Pokazał miejsce gdzie ludzie byli rozstrzeliwani. Rozstrzeliwano tych, którzy nadawali się do czynnej służby wojskowej i chcieli tworzyć polskie oddziały, kobiety i dzieci pozostawały, a mężczyźni znikali.

/Moja rozmówczyni przy tym temacie szczególnie czuła się poruszona tym iż ojciec już nie żyje i nie może o tej sprawie podać dokładnych szczegółów/. Rozstrzeliwano ich w tył głowy. Lekarz mówi, że i jego to ~~razem~~ może spotkać: ja ci napiszę, że jesteś inwalidą i do niczego się nie nadajesz bo jesteś chory - ojciec właśnie zachorował na tyfus - więc ja cię odeślę do domu i napiszę że jesteś bardziej potrzebny do pracy w kołchozie.

W taki to sposób ojciec wrócił. Przez długi czas chorował ciężko na ten tyfus i wyzdrowiał. Po jego powrocie ~~byłam~~ ^{byłam} w tym Chutorze i ja tam zachorowałam na krwawą biegunkę. Byłam tak ciężko chora, że w zasadzie nie było dla mnie żadnego ratunku. Nie było lekarstw, poza tym wycieńczony organizm. Cały czas krwawiłam. Kiedy leżałam na słomie bez żadnej nadziei nagle usłyszałam krzyk mamy, zrozumiałam, że umieram. Po prostu przyszedł do nas taki człowiek, który znał się trochę na

chorobach-może był weterynarzem,może pielęgniarzem i po rozmowie z nim mama krzyknęła.Pierwsza moja myśl była taka:jak to jest,ja codziennie mam pewność wyjechania jutro do Polski i mam umrzeć? To jest niemożliwe! Wypełzłam z tego barłogu na podwórko przed taki barak,usiadłam na żelaznym wiaderku,bo ze mnie ciągle leciała krew, powiedziałam sobie,że ja muszę żyć- przecież ja jutro muszę wrócić do Polski - i wyżyłam.To prawie nie do wiary.Jeszcze rok po mojej chorobie ludzie odwracali się ode mnie i przesądnie spluwali.Wyglądałam jak kawałek węgielka czarnego, a jeszcze przy moich czarnych kaloszach, czarnych włosach i dużych,niebieskich oczach wyglądałam jak potwór. Ale chęć życia,chęć przetrwania jest tak ważna. A u nas był przecież jedyny cel- jutro wrócić do Kraju.Pewnie dlatego przetrwaliliśmy te wszystkie choroby.

- A jak wreszcie doszło do tego powrotu?

- No właśnie.Mieszkaliśmy w trzeciej miejscowości:Czarnoje Ozierno-drugą był Chutor - mama tam właśnie była świniarką i ojciec uciekał stamtąd do polskiego wojska po raz drugi,położył się między sztukami mięsa rozebranych świń-jadących na front -a to była zima.Wtedy musiał uciekać,pierwszy raz szedł oficjalnie, a potem to już nie można było. Dalej uciekając jechał na buforach.Liczył na to,że jeżeli będzie walczył i będzie na terenie Polski to wydostanie nas.Kartka:jestem w Polsce,czekam na was - wystarczyła żeby dostać prawp wyjazdu. W 1945 roku otrzymaliśmy taką kartkę od ojca i już wkrótce,w 1946 r wyjechalimy. A ile osób miało kłopoty! Była taka wdowa z córką, która do dzisiejszego dnia prawdopodobnie tam jest.Została w tajdze, w lesie, bo nie miał jej kto wyzew przysłać.

- "arto by było dowiedzieć się o jej losach.

- Ja mogę teraz napisać, mam adres.Matka na pewno nie żyje,ale córka. Nazwiska nie pamiętam, ale mogłabym napisać do kogoś z Rosjan z pytaniem czy ktokolwiek z Polaków jest tam jeszcze?

Po otrzymaniu kartki od ojca mogliśmy się zabrać na tę stację - nie pamiętam jej nazwy - był to również towarowy pociąg, ale już nie byliśmy zamknięci. Mogliśmy na dworcach wychodzić i dowolnie poruszać się.

- Jechaliście z przesiadkami?

- Nie, w tym samym wagonie dojechaliśmy do Polski. W Polsce do Białogardu, a stamtąd tata zabrał nas do Rzepina. Tata zmarł 5 lat temu i bardzo żałuję że nie żyje, tyle mógłby opowiedzieć.

Wróciliśmy wszyscy: mama, ja, siostra i brat. Nauczyliśmy się tam jeść różne rośliny, grzyby, jagody, pić sok z drzewa. W tajdze właściwie trudno by było umrzeć z głodu. Wspomnienia przyrody cudowne, takie piękne kwiaty! Właśnie tam widziałam najpiękniejsze storczyki. Zawsze chciałam chodzić z kobietami do lasu żeby coś do jedzenia lub do sprzedania nazbierać. Kobiety bojąc się odpowiedzialności za dziecko uciekały odemx mnie. Czasami stałam w nocy i pilnowałam, żeby mi nie uciekły. Kiedy wchodziłam w tajgę i odłączyłam się o kilka metrów, to już nie byłam widoczna, ale ja pilnowałam się i jak pies szłam za nimi. Z czeremszy robiło się takie pęczki i można było czasami je sprzedać, a w sklepie coś kupić. Właściwie w nim niczego nie było, ale dla mnie byle co miało znaczenie.

Ci ludzie, którzy mieli krowy, tym się lepiej powodziło. My jednak nie mieliśmy jej za co kupić, a poza tym przecież ciągle "jutro" wybieraliśmy się jechać do Polski. Początkowo przychodziły paczki od cioci, a potem gdzieś ginęły.

- Pamięta pani wiosny?

- Wiosen nie pamiętam, były bardzo krótkie, lato też było krótkie ale bardzo gorące. Przyroda rozkwitała nagle, wprost na oczach.

- Sądzę iż nam, dzieciom, we wspomnieniach zostały bogatrze obrazy, niż dorosłym, troszczącym się o podstawowy kęs dla dzieci, nie mieli ani czasu, ani siły patrzeć na przyrodę.

- Tak, myślę, że tak.